



MARIA ZABOKLICKA-BUDZICHOWA — „BEHEMOT I MAŁGORZATA”, OLEJ
FOT. WIESŁAWA BĄBLEWSKA-ROLKE

czy dzisiaj jeszcze można malować koty?

To pytanie dosłownie postawiła mi kiedyś Maria Zaboklicka-Budzichowa na wystawie swych obrazów w Warszawie, czwartej już, na której prezentuje cykl zatytułowany „Notatki z lektur”. Od szeregu lat bowiem malarka z nieczęstą dzisiaj konsekwencją zawęziła problematykę swego malarstwa do tego, co nazywa „próbą podsumowania refleksji nasuniętych lekturą wybranych książek”. Wspomniane pytanie dotyczy przy tym większości z ostatnio pokazanych prac, które wiążą się z lekturą Bulhakowa, są wizjami, próbami portretowania Małgorzaty i Behemota.

Wydaje mi się, że warto patrzeć na malarski trud Marii Zaboklickiej-Budzichowej zastanowić się nad problemami, które dawno zastanawiają zarówno malarzy, jak i ludzi obcujących z obrazami. Tak więc zastanówmy się, czy obraz powstający z konkretnej, literackiej inspiracji ma szansę istnieć „jako obraz”, czy też istnieje tylko jako punkt odniesienia do wspomnianej lektury. Przeczytałem niedawno znakomity tekst o malarstwie, w którym autor cytuje powiedzenie Braque'a: „Malarz nie dąży

do tworzenia anegdoty, ale do stworzenia faktu malarskiego”. Zapytajmy więc, czy w obrazach Marii Zaboklickiej zachodzi ta ważna intryga, zwana malarskim faktem, czy też górę bierze zauroczenie klimatem literackiego tekstu. Wyjaśnić należy, co to jest „fakt malarski” — gdyż w przeciwnym razie nie-malarze czytający ze uwagi poczuliby się jak rozmówca hydraulika z humoreski Tuwima. Fakt malarski — to synonim ograniczenia procesu twórczego do rozgrywek materii malarskiej (faktury), koloru, formy, deformacji, to skupienie zainteresowania na tych problemach i uczynienie ich głównym walorem obrazu. Pamiętajmy jednak, że nie chodzi tu o preferowanie malarstwa abstrakcyjnego, chodzi o samodzielną jakość malarstwa, która nie może i nie powinna wypływać z warstwy tematycznej obrazu. Tak więc nie CO, ale JAK.

Maria Zaboklicka podkreśla często, że nie chce być modna, że pragnie w miarę sił odrodzić wartość wzruszenia, piękna, ucieszenia — jaką dawniej dawało malarstwo ludziom. Malarka we wstępie do katalogu swej warszawskiej wystawy pisze: „Malarstwo jest przede wszystkim wolnością; sztuką odpowiedzią się za czyns, a tym samym obowiązkiem

dokonywania nieodwołalnego wyboru”. Element wyboru, chęć mówienia wskazuje na jeszcze jeden, ważny ton malarstwa Marii Zaboklickiej, na połączenie i nierozdzielność sztuki z postawą moralną. Ale malarstwo i jego język, jego środki stoja na początku drogi — jaką wybiera dla swych literackich refleksji Maria Zaboklicka. Dlatego też idzie droga poszukiwania „ekwiwalentu malarskiego” — dla doznań czytelniczych. Powodem malarskim jest klimat, a nie chęć ilustrowania książek. Obraz ma być odpowiedzą na książkę — wydaje mi się nawet, że malarka ma w swej twórczości tylko jedno wyjście: albo jej obraz ma być partnerem literatury, albo nie należy go malować. Albo malarska jakość wizji zrodzonej z inspiracji literackich jest tak silna, że jest rodzajem kongenialnego tłumaczenia, albo malowanie będzie tylko uzupełniało teksty, a wtedy stanie się nawet nieczytelne dla tych, którzy nie znają np. Bulhakowa.

A zatem spytajmy: czy obrazy Marii Zaboklickiej są samodzielnymi faktami malarskimi i czy możemy je oglądać z zainteresowaniem dzięki ich malarskiemu klimatowi, czy też są ilustracjami?

Odpowiedzmy od razu — tylko w pierwszym wypadku idea malarki wypełnia się i tylko wtedy pytanie postawione na wstępie ma sens. Odpowiedzmy też, że w szeregu prac Maria Zaboklicka-Budzichowa uzyskuje to spięcie malarstwa i literackiej podniety i robi to, co nazywa się po prostu dobrym malarstwem.

Są na tej drodze potknięcia. Wtedy kiedy przekora artystki wobec współczesności idzie może za daleko, wtedy kiedy niepotrzebnie stara się być staroświecka, wtedy, kiedy gładzą powierzchnię obrazu zagłusza możliwości niedomówień właśnie malarskich. Tam gdzie szuka znaku, gdzie ogranicza (nawet ilościowo) rekwizyty, gdzie styka dwie różnorodne pod względem materii płaszczyzny, gdzie dochodzi do głosu romantyczny gest i ekspresja — obrazy żyją, są intrygujące, niosą swoim głosem autentyczne jakości. I tak „Z Conrada I” — jest taką właśnie odważną, ascetyczną próbą, ale już w drugiej wersji tego obrazu pojawia się chyba niepotrzebnie sylwetka człowieka, jakby na siłę, dydaktycznie tam postawiona.

Są na tej wystawie przede wszystkim koty, koty-Behemoty. W długiej serii płócien można by wyszukiwać te trafniejsze, lapidarne i te, w których nie brzmi ta „tajemnica”, o którą chodzi i malarce i nam.

Maria Zaboklicka-Budzichowa brnie, nie waham się użyć tego powiedzenia, po trudnej drodze. Idzie — byłoby to słowo źle użyte. Wśród niepokoju otoczenia, wśród bezczelnego udawania awangardy przez każdego, kto nie zna moralnego i artystycznego sensu tego pojęcia, ale też w nieustannym zapytywaniu o sens takiej właśnie drogi, takiej właśnie wypowiedzi — brnie malarka szukająca odpowiedzi.

Jeżeli pyta: czy dzisiaj jeszcze można malować koty?, to oczywiście przekora, bo widocznie musi, więc maluje. „Jeszcze” — to znaczy uważa może swe malarstwo za anachroniczne. Może. Niech takie będzie jakie jest, niech idzie w gąszcz niepewności — bo tylko to jest coś warte, niech idzie w głąb — bo to tylko da istotę, da syntezę. To właśnie dzisiaj trzeba być w malarstwie tylko sobą, szczególnie dzisiaj, kiedy tak łatwo o banał i kłamstwo. Dlatego odpowiedź na pytanie Marii Zaboklickiej-Budzichowej jest oczywiście pozytywna.

Właśnie dzisiaj trzeba malować koty. Właśnie dzisiaj znaczy coś tylko droga własna i trudna.

STANISŁAW RODZIŃSKI